



Mirosław Derecki

ROBOTNICZY LUBLINA: CZAS BEZROBOCIA

Dzisiaj młodzi mają szanse do nauki. A my co mieliśmy? Ja na przykład szkołę powszechną mogłem skończyć dopiero w Polsce Ludowej, miałem już wtedy czterdzieści dziewięć lat i syna, co właśnie robił maturę.

Ja po pierwszej wojnie światowej chodziłem do takiej szkoły dla robotniczych dzieci, mieściła się ona w jakiejś starej ruderze w okolicach dzisiejszej ulicy Armii Czerwonej i było wszystkiego pięć klas. A jak by nawet było siedem, to i tak bym ich nie mógł skończyć, bo wtedy, proszę pana, stypendiów nie dawali i trzeba było jak najwcześniej chwycić się za jakąś robotę, żeby pomóc ojcu i matce. Jako kilkunastoletni chłopak zostałem lakiernikiem i cieszyłem się, że mam stałą pracę, bo wtedy o pracę było trudno. A potem przyszło bezrobocie, potem wybuchła wojna, potem trzeba było fabrykę uruchamiać, gdzie człowiek miał czas na książki? Ale, wie pan, to nurtuje. Ta nauka. Patrzysz - syn do gimnazjum chodzi, ty go popędzasz, żeby nie bomblował, żeby się do nauki brał, a sam nawet powszechniaka nie skończyłeś...

Więc jak w 1955 r. przeczytałem w gazecie artykuł: „Na naukę nigdy nie jest za późno”, pomyślałem: znaczy nie jesteś jeszcze taki stary, spróbuj, co ci szkodzi. I poszedłem do szkoły wieczorowej, do kierowniczkii, ale się trochę wstydzilem, bo gdzie, w moim wieku... A ono, ta kierowniczkii, śmieje się i mówi: co pan, u nas nie tacy się uczą, pan by mógł jeszcze o maturze i studiach pomyśleć... Wolne żarty, myślę sobie, ale koniec końców - zapisałem się...

No i co pan powie? Jakbym się odmłodził. Teczka, proszę pana, ciapy obowiązkowo trzeba ze sobą nosić, zeszyty obkładać, zupełnie jak jaki uczeń... Pięciu nas było w klasie najstarszych: ja i czterech sierżantów z KBW, jeden miał brzuch taki, że się w ławce nie mieścił, to żeśmy się z niego nabijali. Jak młode chłopaki. Ale wszyscy trzymaliśmy sztamę i teraz jeszcze nieraz się spotykamy. Polski, historia, geografia szły mi dobrze, ale z rachunkami było gorzej. Więc syn mi pomagał odrabiać lekcje.

Łatwo nie było. Niech pan weźmie pod uwagę: ze szkoły przychodziło się o dziesiątej wieczorem, zjadło kolację i często zaraz potem trzeba było iść do roboty na nocną zmianę. A w pracy zaraz: „panie brygadzisto - to, panie brygadzisto - tamto”; ja tu muszę sam procować, innym pomagać, a po głowie cały czas mi chodzi, że no jutro mam się nauczyć na pamięć wiersza „Lebiod, rak i szczuka”... No, powiadam, ciężko było. Ale się, proszę pana, zawiązałem i szkołę

skończyłem. Z wyróżnieniem”.

Tak mówi Tadeusz Gwizdek, malarz- lakiernik z zawodu, strażak z zamiłowania. Dzisiaj kierownik ochrony przeciwpożarowej w Lubelskiej Fabryce Wag.

Urodził się w 1907 roku na przedmieściu Zagrody w Lubartowie, choć właściwie z dziada pradziada jest lubliniakiem. Ale akurat wtedy ojciec, cieśla, znalazł dorywczą pracę w Lubartowie i tam również przeniosła się na krótko matka z córkami. Potem w Lublinie przyszły jakby lepsze czasy.

Mieszkali na Bronowicach. W dzielnicy robotniczej, ubogiej. Kolejno zajmowali mieszkania w niewielkich drewnianych domkach przy błotnistych uliczkach - Wesolej, Składowej, Zgodnej. Ani to była wieś, ani miasto. Ludzie w ogródkach hodowali kartofle i kapustę, w pobliżu rolnicy siali żyto, horyzont zamykała łamana linia dachów Starego Miasta z wybijającym się ostrym szpicem Bramy Trynitarskiej. Przy drodze wiodącej do miasta stała fabryka. Produkowano tutaj maszyny rolnicze. Właścicielem był Waclaw Moritz.

W tej fabryce udało się dostać pracę kilkunastoletniemu chłopakowi z Bronowic, Tadeuszowi Gwizdkowi, kandydatowi do zawodu malarza-lakiernika. Był rok 1923. Przez następnych sześć lat Tadeusz Gwizdek oddawał rano na portierni swoją „markę” oznaczoną numerem 302 i udawał się do oddziału, nad którym pieczę sprawował mistrz Antoni Stęplowski, pracownik doświadczony i wymagający, co jeszcze za cara prowadził własny zakład malarski, a potem, gdy czasy zmieniły się no gorsze, dożywał starości w fabryce Moritza, przygotowując szczupłe „młode kadry”. W tejsze fabryce uczeń Tadeusz Gwizdek został w 1927 r. „wyzwolony przez Zarząd Fabryki na robotnika malarskiego”.

W 1929 r. Gwizdka powołano do służby wojskowej. Gdy po jej odbyciu powrócił do Lublina, okazało się, że jego ugruntowana już - jak mu się zdawało - pozycja życiowa załamała się. Pracy nie otrzymał.

W czasie, gdy był w wojsku, lubelski przemysł zaczął wchodzić w stadium ostrego kryzysu. Zamykano fabryczki i zakłady pracy, przeprowadzano redukcje robotników. W Lublinie rozpoczynał się wieloletni okres bezrobocia, nędzy klasy robotniczej, strajków oraz manifestacji bezrobotnych. W lutym 1931 r. w Lublinie było cztery tysiące bezrobotnych, w lutym 1934 już prawie siedem tysięcy. W miesiącach letnich wprawdzie liczba ich zmniejszała się, bo przychodziły tzw. „roboty sezonowe”, ale zimą, a więc w okresie najcięższym do przetrwania, statystyki znowu rosły w sposób zawrotny.

31 grudnia 1930 roku do kierownika Zarządu Miejskiego zgłosiła się grupa kobiet, żon bezrobotnych, z prośbą o wypłacenie im zapomogi na życie. Otrzymawszy odpowiedź negatywną, kobiety pomaszerowały pod Trybunał, gdzie mieścił się Wydział Opieki Społecznej. Zgromadziło się tam już ok. 500 bezrobotnych. I tutaj naczelnik Wydziału dał odpowiedź odmowną. Jeszcze

przez pewien czas panował spokój i porządek. Zgromadzeni wyłonili pięcioosobową delegację, która udała się do Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy. Tam poinformowano ją, że zasiłki zostaną wypłacone nie wcześniej niż 4 stycznia. Wtedy rozgorączkowany tłum wdarł się do gmachu Trybunału. Sytuacja zaczęła się stawać niebezpieczna. W mieście mogło dojść do masowych rozruchów. W efekcie władze miejskie, przestraszone, postanowiły - *z uwagi na wyjątkowo ciężkie położenie robotników (...) udzielić zasiłek po 5 zł, co zostało natychmiast uskutecznione.*

Pięcioletowy zasiłek nie rozwiązał przecież problemu bezrobocia. 10 stycznia 1931 r. „Głos Lubelski” donosił: *Dowiadujemy się, że w bardzo wielu przypadkach przyczyną zamachów samobójczych jest brak środków do życia, a więc nędza.* Sytuacja musiała być fatalna, skoro wcale nie demokratyzujące pismo zdobyło się na takie słowa. Jeszcze bardziej dobitnie określa warunki bezrobotnych podanie ludzi żyjących w barakach przy ul. Żelaznej 20, skierowane do wojewódzkiego Wydziału Pracy, Opieki Społecznej i Zdrowia: *...pozostajemy w barakach, które po prostu nie nadają się i w ogóle nie przypominają ludzkiego mieszkania, do tego stopnia, że dzieci nasze chodzą bosą i nago, z powodu przejmującego zimna, zmuszone są po całych dniach przestawać w barłogu (łóżku), pokryte lachmanami. Pozostający w tak okropnej nędzy, obawiamy się, że z głodu i zimna może rozpowszechnić się epidemia.*

Pod koniec stycznia, w ramach ogólnopolskiej akcji dożywiania, także władze lubelskie przystąpiły do wydawania obiadów dla bezrobotnych. Powstało sześć tzw. „głodowych kuchni” - w zakładach Moritza, przy ul. Krochmalnej, Fabrycznej, Unickiej, Zamojskiej i Długosza. Natychmiastowy napływ biedoty był tak wielki (po obiady zgłaszało się 7-8 tys. osób dziennie), że władze zaczęły szukać usprawiedliwienia sytuacji w... „propagandzie komunistycznej”, starającej się rzekomo za wszelką cenę skompromitować ustrój i władze w oczach obywateli. Niestety, sam Wydział Bezpieczeństwa Urzędu Wojewódzkiego musiał wkrótce stwierdzić z zalem:

Obserwacja nie ujawniła, by kompartia (KPP - przyp. red.) prowadziła w tym kierunku jakąkolwiek akcję, mającą rzekomo na celu - z jednej strony wywołanie w społeczeństwie depresji moralnej, z drugiej zaś postawienie władz administracyjnych i samorządu w kłopotliwym położeniu, m. in. przez przedwczesne wykorzystanie przeznaczonych na pomoc bezrobotnym środków pieniężnych, a tym samym sprowokowanie bezrobotnych do ekscesów.

Tadeusz Gwizdek dzielił los tysięcy bezrobotnych. A i tak jeszcze miał szczęście, ponieważ i ojciec i on posiadali fach „budowlany”. Ojciec brał dorywczo roboty ciesielskie przy budowie domów w mieście i na wsi, syn malował w tych domach ściany. Że nie było to zajęcie intratne i trwałe, świadczy fakt, że gdy w połowie 1931 r. nadarzyła się okazja dostania pracy dla robotników niewykwalifikowanych podczas kampanii cukrowniczej, Tadeusz Gwizdek natychmiast zgłosił się do lubelskiej cukrowni i przepracował w niej kilka miesięcy. Zresztą, taka okresowa „zarejestrowana” praca dawała podstawę do otrzymywania później przez pewien czas

zasiłku pieniężnego dla bezrobotnych oraz korzystania z obiadów „głodowej kuchni”. Nie bez przyczyny zresztą bezrobotni nazywali tę kuchnię „głodową”. Nawet „powściągliwy” „Głos Lubelski” pisał w 1931 r. : (...) *ze strony bezrobotnych dochodzą skargi przy rozdawaniu obiadów. Mniej powściągliwy był przedstawiciel Rady Okręgowej Związków Zawodowych, który w swym raporcie stwierdzał bez ogródek: „Zupa to talerz gorącej wody, w której jest pewna zawartość na wpół ugotowanej kaszy lub grochu; tłuszczu absolutnie brak, jak również jakichkolwiek jarzyn czy dopraw”.*

Dzięki znajomościom udało się Tadeuszowi dostać w 1932 r. pracę w fabryce samolotów Plage-Lośkiewicza. Siedmiomiesięczne zajęcie dało mu możliwość pobierania następnie przez 13 tygodni zasiłku pieniężnego w wysokości 30 proc. ostatnich tygodniowych zarobków.

Sytuacja bezrobotnych stawała się coraz gorsza. W początkach 1932 r. zlikwidowano w Lublinie „głodowe kuchnie” (z wyjątkiem jednej). Wprowadzono też nowelizację ustawy z 18 lipca 1924 r. o zabezpieczeniu na wypadek bezrobocia. Dawniej robotnik musiał przepracować 20 tygodni, aby uzyskać prawo do zasiłku, teraz obniżono wprowadzając granicę wieku do lat 16, ale przedłużono wymagany okres pracy do 26 tygodni. Mimo pozorów polepszenia, pogarszało to tylko sytuację, bo o tak długą pracę dorywczą było niezwykle trudno. W efekcie zasiłek przysługiwał teraz jeszcze mniejszej liczbie bezrobotnych.

W 1933 r. Tadeusz Gwizdek był uczestnikiem tzw. „strajku bezrobotnych”. Magistrat Lublina zatrudniał bezrobotnych do prac sezonowych, płacąc niezwykle niskie stawki. Pewnego dnia robotnicy porzucili pracę, zgromadzili się przed siedzibą Urzędu Zatrudnienia i wysłali do kierownika urzędu delegację, która miała pertraktować w sprawie podwyżki płac.

- Myśmy czekali - wspomina Gwizdek - co z tego wyniknie, i nie spodziewaliśmy się wiele, ale... to co nastąpiło, przeszło wszystkie nasze oczekiwania. Nagle, jak my tak stoimy gromadą pod tym biurem, otwiera się na piętrze okno, wychyla się jeden z delegatów i krzyczy; „Towarzysze, aresztują nas!” To co, my mieliśmy stać dalej spokojnie? Poleciały cegły w okna, krzyk się zrobił, a tu już policja z karabinami z bocznej ulicy wypada, strzelają, ludzie uciekają... I jeden, Kazanowski, dostał. Uciekał w kierunku Czachówki i jak dostał, jak by się przykleił na chwilę do mostu, koło którego biegł, a potem zaczął się powoli osuwać po tym murze. I tak pod nim już leżał.

Dopiero w 1937 roku, po siedmiu latach bezrobocia, Tadeusz Gwizdek uzyskał stałe zajęcie. Został przyjęty do niewielkiej fabryczki wag, prowadzonej przez inż. Caudra. Pracowało tutaj ok. 30 robotników. Produkowano przede wszystkim wagi, ale także mniej skomplikowane maszyny rolnicze. Tu zastał Gwizdka wybuch drugiej wojny światowej i tutaj przebył on cały okres okupacji, dzieląc czas pomiędzy pracę w fabryce a służbę w Miejskiej Straży Pożarnej. Członkiem Straży Pożarnej był zresztą od 1925 roku.

Caudr musiał mieć chyba jakieś bliższe powiązania z Niemcami, bo kiedy Armia Radziecka zaczęła się zbliżać do Lublina, spakował dobytek do samochodu i wraz z rodziną wyniósł się z miasta. Fabryka przez kilka dni stała beczynnie. Ale natychmiast po wyzwoleniu Lublina robotnicy zjawili się znowu w hali produkcyjnej. Ponieważ właściciel nie zjawił się, wybrano spośród załogi zarząd, który objął kierownictwo. W skład zarządu weszli Feliks Poniatowski. Stanisław Romanowski. Z pozostałych w magazynach surowców kontynuowano produkcję. Wkrótce kierownictwo zakładu udało się na ulice 22 Lipca do Wojewódzkiego Urzędu Przemysłowego i przekazało fabrykę Państwu. Tak powstała „Państwowa Fabryka Wag – dawniej Jarosław Caudr”.

W 1946 r. Tadeusz Gwizdek wstąpił w szeregi PPS, a po kongresie zjednoczeniowym stał się członkiem PZPR. Dzisiaj, jak dawniej, jest „u Caudra”, chociaż sam zakład oficjalnie otrzymał nazwę „Zakładu Nr 3”, wchodzącego w skład połączonych Lubelskich Fabryk Wag. Stan zdrowia nie pozwala Gwizdkowi pracować w wyuczonym zawodzie, więc poświęcił się bez reszty czuwaniu nad bezpieczeństwem fabryki, z którą po ciężkich okresach związał się na pół życia: dowodzi czterdziestoma ludźmi, dla których jeszcze, tak jak zawsze dla niego, romantyzm kojarzy się z lśniącym hełmem i toporkiem przytroczonym do szerokiego pasa. Choć to już nie te czasy, kiedy hełmy były złociste, a o podłogę pożarniczej stajni biły kopytami konie... Jest to wszakże czas, kiedy córka Tadeusza Gwizdka, nauczycielka języka rosyjskiego, mogła bez obawy o dalsze losy rodziny obdarzyć go wnuczką.

Pierwodruk : „Kamena”, 1969, nr 10, s. 3, 7.